

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (5)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Wszędzie zalegały książki, czasopisma. Niektóre stały w kartonach (np. w kuchni; kartony zostały ładnie pomalowane farbami przez dzieci) i nawet nigdy nie zostały rozpakowane po poprzedniej przeprowadzce z ul. Dzierżyńskiego. W sumie kilka tysięcy książek, czasopism, druków, teczek. Miasta zaś „nie było stać” na przydział redaktorowi jeszcze większego lokalu, w końcu szło „tylko” o literata... Podania o większy metraż w spółdzielni mieszkaniowej traktowano odmownie. W Gdańsku tymczasem Waśkiewicz dostał większe mieszkanie. Z przydziału dla specjalistów.

– Ale to przecież jest pula dla wybitnych fachowców?! – zachnęła się pani, chyba z Wydziału Prasy KC, gdy wizytowała redakcję „Nadodrza” i odbywała indywidualne rozmowy z pracownikami.

– Zgadza się, ja właśnie jestem wybitnym specjalistą – odrzekł jej Andrzej.

W tym miejscu wyjaśnienie. Gdy rodzina mieszkała jeszcze przy ulicy Dzierżyńskiego, odwiedziłem redaktora Waśkiewicza po raz pierwszy prywatnie w domu. Chorował i nie przyszedł do redakcji, a ja pilnie potrzebowałem wstępu do powielaczowego druku pt. „Studencki Klub Poetycki 54”, który wówczas założyliśmy na WSP (Weber, Jabłoński, Markiewicz, Sejwa, Recko, Kurzawa). Chory redaktor, w szlafroku, wkręcił papier w maszynę i od ręki wstęp napisał. Lokum na Dzierżyńskiego miało ledwie trzy pokoje, w których z pięćosobową młodą rodziną żyła też matka Andrzeja; niedawno urodzone bliźniaki spały na dwóch zestawionych fotelach. Gdy w mieszkaniu odbywały się spotkania towarzyskie, trzeba było – uwaga – wyjmować drzwi z zawiasów i kłaść na kolanach siedzących gości. Tak powstawał stół. W owym trudnym „okresie Dzierżyńskiego” Waśkiewiczowie otrzymali propozycję przeniesienia się do Gdańska; tam – jak widać – doceniono wiedzę

i dorobek Andrzeja, a Hankę doceniono później w miejscowym radiu (prowadziła też zajęcia dla studentów). Finał sprawy zdarzył się jednak po paru latach, a „po drodze” rodzina otrzymała nieco większy lokal na wspomnianej już ulicy Gwardii Ludowej.

– Pewnie można było zostać na Gwardii i w Zielonej Górze – ocenia po latach Ania Sobacka – ale decyzja zapadła, że jednak wyjeżdżamy – trochę w nieznaną...

W domu przy Gwardii Ludowej rozpoczął się nowy etap: pakowanie kilku tysięcy książek. Porządek dnia był następujący: przychodziłem po południu, po wykładach na uczelni, i zgodnie z ustaleniami Hanki braliśmy się za pakowanie do kartonów wskazanych na półkach książek. Karton był zawiązywany, numerowany i odkładany do przedpokoju. Gdy zebrało się kilka, przenosiliśmy je z Andrzejem pod windę i wieźliśmy do piwnicy. I apiać. Każdy numer kartonu pani Andrzejowa notowała w specjalnym kajeciku. Finałem była oczywiście kolacja i rozmowa. W końcu 10 września 1979 r. pod blok podjechała ciężarówka, która zawiozła cały urobek książkowy, trochę mebli i innych drobiazgów do Gdańska na ul. Amundsena. Książki pomagał tego dnia z rana ładować poeta Mietek Warszawski. Tym razem przyszedłem po południu na gotowe, ale dlatego, że obiecałem pojechać z Andrzejem do Gdańska i tam pomóc w rozładunku. Wyruszyliśmy wieczorem, jechaliśmy całą noc. Jeden w kabinie kierowcy, drugi na pace. Pod Tczewem pojazd się zepsuł...

Żał mi było, że cała rodzina W. wyjechała. Poczułem się nieco osamotniony. Czegoś (a raczej kogoś) zabrakło. Ale ledwie minął rok, gdy również opuściłem Zieloną Górę. I, mimo iż później „tułałem się” po Suwałkach, byłem we Wrocławiu w wojsku, wróciłem do Suwałk, a potem przeprowadziłem się do Białogostoku, nasze kontakty (także rodzinne) nie osłabły. Przeciwnie, „ciągnąłem” Andrzeja za sobą, proponując mu a to spotkania autorskie, a to seminaria (Olecki Czerwiec Poetycki, Ocalenie przez Poezję w Gołdapi), a to pisanie tekstów, recenzji (np. w suwalskich „Krajobrazach”). Sam również jeździłem do Gdańska, nawet w stanie wojennym. Pod koniec lat 80. Waśkiewicz został świadkiem na moim ślubie odprawionym w USC w Suwałkach. Po latach, gdy wróciłem do Zielonej Góry, to i tutaj „ściągnąłem” Andrzeja. Zresztą – na różne sposoby. Pracując wpieryw w „Gazecie Nowej”, zachęciłem do pisania stałych felietonów (np. „Mały słownik epoki zamętu”) i innych tekstów, w Zielonej Górze udzielił ponadto wielu wywiadów, brał udział w spotkaniach autorskich w klubie „Pod Kaczką” lub bibliotece wojewódzkiej (to później). A gdy w 1994 r. zainicjowano Lubuski Wawrzyn Literacki, został w nim „etatowym” jurorem i długoletnim przewodniczącym kapituły. W ten sposób, pracując w jury, dzieląc nagrody, kształtował w pewien sposób środowisko literackie, z którego oński wyszedł. Wraz z Wawrzynem uruchomiono pismo „Pro Libris”. Tam AKW opublikował cykle szkiców o najważniejszych twórcach regionu, recenzje, opinie. Słowem znów stał się mocno i wyraźnie obecny w życiu kulturalnym Ziemi Lubuskiej.

Lecz nie tylko w życiu kulturalnym i nie tylko regionu. Chcę bowiem wtrącić smaczną historyjkę o tym, jak w latach 90. Andrzej fizycznie pomagał mi w pracach domowych w Wilkanowie. Zostawił tu namacalny ślad, widoczny do dziś. Przyjechał do nas z Adasiem podczas wakacji i przez kilka dni obaj w naszym domu wypoczywali. Waśkiewicz chciał jednak koniecznie jakoś pomóc w pracach gospodarskich. Właśnie miałem do pomalowania płot od strony ulicy i w planie otynkowania fragmentu ściany w miejscu, gdzie nasi poprzednicy wykuli drzwi, a myśmy je znów zamurowali. Wobec deklaracji AKW wziąłem puszkę farby do drewna, dałem Andrzejowi drugi pędzel i poszliśmy malować płot. Jednak farba była jakoś dziwnie oleista, brakowało „gęstego”, więc pomalowany płot wyglądał jakoś tak...

Aż pojawiła się fachowa siła „od malowania”, czyli moja żona.

– A wymieszaliście wcześniej farbę? – krótko zapytała.

Następnego dnia tynkowaliśmy zamurowany otwór wejściowy. Jako że żaden z nas nie potrafił przy pomocy kielni „obrzucić” ściany zaprawą tynkową, małymi szpachelkami przyciskaliśmy zaprawę do cegieł i staraliśmy się ją „rozmasać” po powierzchni ściany. Jakoś się udało się, z naciskiem na jakość... Nierówne ślady naszego „mistrzowskiego” tynkowania wciąż są widoczne od strony ulicy. Każdy może obejrzeć...

Gdy w 2006 r. jechałem do Gdańska na jubileusz 65. urodzin i 45-lecia twórczości Andrzeja K. Waśkiewicza, zrodził mi się w głowie pomysł. Miałem tam wygłosić o czci jubilatą mowę. „Przyjechałem do Gdańska odzyskiwać Waśkiewicza dla Ziemi Lubuskiej – zacząłem przekornie swoją laudację. – Lata spędzone przez niego nad Bałtykiem spowodowały, że coraz bardziej eksponuje się związki artysty z portowym miastem, Pomorzem, a zapomina o korzeniach. A przecież Waśkiewicz w Gdańsku będzie pośmiertnie miał najwyżej jedną tablicę pamiątkową na Morenie, konkretnie na bloku przy ul. Amundsena (...). Tymczasem na Ziemi Lubuskiej – prorokowałem – w miejscach, gdzie mieszkał, uczył się i tworzył, pojawi się co najmniej kilka pięknych mosiężnych tablic, a może i popiersi z jego nazwiskiem. (...) O co mi szło? Właśnie o te metaforyczne tablice, które być może rzeczywistość w przyszłości upamiętniła pobyt Waśkiewicza w kilku miejscowościach Ziemi Lubuskiej. Otóż zaproponowałem mu odwiedzenie w ciągu paru dni tych miejsc, w których mieszkał i uczył się od czasu przybycia z mamą na Ziemię Odzyskane zaraz po zakończeniu II wojny światowej. W kolejności było to miasteczko Lubsko, zwane wtedy jeszcze Zemsz, potem wieś Stary Zagór (koło Krosna Odrzańskiego), nieodległy Dychów, pieszo przez rzekę Bóbr ze Starego Zagoru, a potem Kożuchów, jako miejsce zamieszkania i nauki. Wreszcie Szprotawa i mieszkanie w internacie Technikum Rolniczego, gdzie się uczył. Na końcu oczywiście Zielona Góra, choć „po drodze” Roczne Studium Bibliotekarskie w Jarocinie.

cdn.